

Paweł Sałacki: Panie doktorze, 60 lat pracy w Kościanie, ale skąd pan się wziął w Kościanie?

Jerzy Gnusowski: Jestem naturyzowanym Poznaniakiem. Urodziłem się na południowo - wschodnim skrawku Polski, w okolicach Tarnopola w 1936 roku. I do Poznania przybyłem w 1946 roku. Tam się osiedliłem, tam chodziłem, skończyłem szkołę, ósme liceum, a następnie Akademię Medyczną w Poznaniu.

Praktycznie to ja nigdy nie myślałem o tym, że będę w Kościanie. Kościan zawsze mi się kojarzył z miejscowością, gdzie się zatrzymywałem w trakcie moich wyjazdów na narty. Gdy pociąg stawał, to przed widokiem był widok takiego dużego budynku. Dzisiaj wiem, że to był widok cukrowni, ale nigdy nie myślałem poważnie, że będę kiedykolwiek w tym mieście.

Tak się stało, że zapoznałem studentkę farmacji na Akademii Medycznej w Poznaniu. Później staliśmy się narzeczeństwem, małżeństwem. Była to kościanianka, w związku z tym przeprowadziłem się do Kościana. Ale też nie było w planie, że będziemy w Kościanie mieszkali, ponieważ ja miałem stypendium fundowane z Koszalina i tam miałem być okulistą na wydziale okulistycznym.

Później były takie następujące zdarzenia. Moja żona zaszła w ciążę, urodziła dziecko i w Koszalinie nie było dla nas odpowiedniego mieszkania. W związku z tym władze w Koszalinie wyraziły zgodę na odbywanie stażu w Kościanie. I zacząłem ten staż odbywać. Jak staż skończyłem, nadal nie było tego mieszkania w Koszalinie. Jakoś po negocjacjach władze koszalińskie wyraziły zgodę, żeby mogła być umowa rozwiązana polubownie. I w ten sposób stałem się pracownikiem szpitala, powiatowego szpitala w Kościanie, bo wtedy chyba tak się nazywał.

Tu zacząłem pracę. Najpierw zacząłem tę pracę, krótko byłem na oddziale chirurgicznym, dlatego że zamierzałem być chirurgiem. Wydawało mi się, że mam predyspozycje takiego zabiegowca. Niestety ówczesny ordynator, dr Józef Tylus, nie był w stanie dla mnie załatwić tego, co chciałem. Mianowicie, żeby pracować na całym etacie w szpitalu i mieć tylko pół etatu w poradni. No i podkupił mnie ordynator oddziału ginekologii, pan Jan Basiński, który postarał się, żebym miał cały etat na oddziale ginekologicznym, a pół etatu w poradni. I tak się zaczęła moja kariera. Najpierw asystenta, młodszego asystenta, starszego asystenta, zastępcy ordynatora, później ordynatora. A teraz do dnia dzisiejszego pracownika pracującego na kontrakcie dla szpitala zespołu opieki zdrowotnej w Kościanie, bo tak się to ten szpital w tej chwili nazywa.

PS: Jak się panu podobał Kościan w latach 60 -tych, jak pan tu przyjechał?

JG: Odebrałem Kościan jako miasto bardzo kameralne, bardzo spokojne, bezpieczne. Może to jest taka mało istotna, a dla mnie ważna uwaga, jako człowiek, który bardzo często był wzywany do szpitala, po nocach. Ja nigdy nie miałem najmniejszych obaw. Mogłem chodzić o każdej porze dnia i nocy i nie czułem, że coś mi zagraża. Co z mojego punktu widzenia było bardzo istotne.

Samo miasto było przyjazne, władze były przyjazne. Być może jest taka sytuacja, że lekarze, którzy pracowali dla tego miasta, byli w jakimś sensie uprzywilejowani, że dużo mogli więcej w sensie takim, że tutaj dostawali mieszkania, się sprowadzali, że mieli różnego rodzaju ułatwienia. Nie mniej, wydaje mi się, że to było, współgrało z tym takim zjawiskiem, że bardzo dużo wtedy lekarze pracowali.

W czasie, jak ja się tu zatrudniłem, obowiązkowy etat lekarza wynosił 10,5 godziny. Pozostawała praca w poradni i 4,5 godziny, podstawowa praca na oddziale i 4,5 godziny w poradni. Każdy to miał i to właściwie było, myśmy to respektowali i to było rozliczane. Tak że nie ma to żadnego porównania z dzisiejszą pracą, chociaż na pewno tak samo jest wydajna i pracowita. Niemniej jest wielka różnica. Wtedy pracowało się wszystkie dni tygodnia, łącznie sobotą. Tak że lekarz był bardzo obciążony. Może tylko powiem, że jak zacząłem pracę 5 marca 1964 roku na oddziale ginekologicznym w Kościanie, to w pierwszym miesiącu miałem 20 dyżurów. Dzisiaj jest to niepojęte w ogóle. Wtedy były bardzo wielkie braki kadrowe. Rok 1963, 4, 5 to jeszcze były lata, kiedy gro porodów odbywało się w domu. Na terenie miasta położne, na terenie wiosek odbierały porody. Do szycia krocza wołało się pogotowie. No i wtedy jako młody lekarz właściwie po stażu musiałem robić takie różnego rodzaju operacje w postaci szycia, pękniętych kroczy, które dzisiaj właściwie dopiero wykonują u nas prawie że specjaliści. Ale takie to były czasy.

Wracając do samego Kościana miasto bardzo przyjemne, ale trzeba zwrócić uwagę na to, że były to czasy siermiężne. Społeczeństwo było biedne, niedożywione. Jak pamiętam na dyżurze, na oddziale psychiatrycznym to były dzień w dzień 3 - 4 zgony. Dzisiaj to jest w ogóle nie do pomyślenia.

PS: A jak wyglądała porodówka wtedy? Dzisiaj to jest oddzielny oddział, oddzielny budynek.

JG: Tak jak tutaj, jak pamiętam dobrze, to w tamtych latach właściwie porodówka powstawała, że tak powiem taka w miarę bardziej nowoczesna porodówka, dlatego że gro porodów w tamtym czasie w powiecie kościańskim odbywało się około 2400 porodów, ale z tego może 500 - 600 w szpitalu. Reszta to były te porody, które odbywały się w domu.

Za dyrektury pana dyrektora Florkowskiego, jego zastępca do spraw ekonomicznych, pan Przybył, doprowadził do przybudowy świnia, dlatego że w tamtym czasie w szpitalach istniały tak zwane gospodarstwa pomocnicze, między innymi tam po

prostu ogrodnictwo, świniażnia na potrzeby szpitala. I została ta świniażnia przebudowana i w 1963 roku, pod koniec 1963 roku, została na tamte czasy bardzo nowoczesna, bardzo otwarta, bardzo nowoczesna porodówka. To było jakieś nowum, jakiś przełom. Był to budynek piętrowy, na piętrze była duża sala porodowa, sala porodowa, pokoje cztero- pięcioosobowe, w miarę komfortowe. Na dole była sala operacyjna i tak samo sale pooperacyjne. To był jakiś nowy krok w tej dziedzinie.

Ale czym to zaskutkowało? Z jednej strony jakieś restrykcje rządowe, które nakładały obowiązek przed tym nieznanym położnym, lekarzom do sprawowania opieki nad rodzącą, który skutkowało tym, że ci ludzie, ten personel, zaczął się wycofywać z odbierania porodów w domu. I w związku z tym zaczęła narastać liczba porodów w szpitalu. Jak ja zaczynałem pracę w szpitalu, tych porodów było niespełna 600. W szybkim tempie zaczęły wzrastać i niebawem okazało się, dzisiaj tak go nazywamy baner, byśmy nazwali banerem. W każdym razie pokazało się ogłoszenie, że po raz pierwszy w szpitalu w kościańskim odebrano tysiąc porodów. To było za ordynatury pana doktora Jana Basińskiego. Oczywiście z biegiem czasu zmieniali się ordynatorzy i wzrastała liczba porodów. No i maksymalnie doszła do dwóch tysięcy porodów. Było to gdzieś w latach 1983 -84.

Kilka lat taki boom trwał, a później z biegiem czasu ta ilość porodu zaczęła się zmniejszać. Dzisiaj w roku 2024 tych porodów, w zeszłym roku 2023 było 450 mniej więcej w Kościanie. Trendy demograficzne mówią, że tych porodów będzie jeszcze mniej. Jest to duże wyzwanie dla władz samorządowych, dlatego, że czego by nie robić, to obsada jest dość sztywna. To znaczy musi być lekarz. Dla przykładu powiem, że na takim dyżurze musi być lekarz, dwie albo trzy położne, pielęgniarka noworodkowa, pielęgniarka anestezjologiczna, anestezjolog, pediatra. Tak że na przykład, gdy odbywa się cięcie cesarskie, to przy takim cięciu cesarskim jest zawsze zaangażowanych 10 do 12 osób. I takie koszty musi ponieść szpital. Jeżeli powiemy, że kiedyś było 2 tysiące porodów i ta obsada była, założmy, połowę mniejsza, to dzisiaj, żeby zapewnić wszystkie standardy, to musi być ta obsada i szpital musi ponieść koszty, to znaczy powiat musi ponieść, samorząd musi ponieść te koszty. To wymaga, to są procedury, które muszą być przestrzegane i nie ma właściwie żadnego odstępstwa. Moim zdaniem jest to bardzo duże wyzwanie dla władz samorządowych i one muszą się zmierzyć z kosztami. Ale jeżeli chcemy mieć dobre warunki, stworzyć dobre warunki dla rodzących kobiet tego powiatu, to musi być niestety tak robione, jak jest, żeby one mogły tu bezpiecznie te porody odbywać.

PS: Dwa tysiące porodów, to jest mnóstwo pracy. Jak to wyglądało? Jak to było zorganizowane?

JG: Można powiedzieć w ten sposób, że i wtedy, i dzisiaj wszystko musiało być wykonane. Tylko wtedy się wykonywało to inaczej, mniej się pisało i robiło się dużo rzeczy, które dzisiaj by nie mieściły się w procedurach. Jak zacząłem tu pracę, tutaj był oddział liczył 76 łóżek i jak się przychodziło rano do pracy, to zawsze było kilka dostawek pacjentek leżących na noszach. Dzisiaj ten oddział ma 36 łóżek i wystarcza, dlatego że jest troszeczkę więcej niż jeden poród na dobę. Oczywiście oddział nie pracuje tylko w związku z poradami, są operacje, są różnego rodzaju schorzenia, ale wygląda to zupełnie inaczej.

Inna jest struktura schorzeń. Dzisiaj nie mamy do czynienia z lawiną zakażeń narządów, głównie jako ginekolog dzisiaj nie mamy do czynienia z lawiną zakażeń układu rodowego. Dzisiaj nie mamy pacjentek, które przychodzą w stanach zaniedbań terminalnych. Dzisiaj społeczeństwo jest na innym poziomie rozwoju.

PS: A jak szybko wrastał Pan w to nowe miasto? Był Pan 10 godzin codziennie w pracy, ale co z otoczeniem, co z miastem, z nowymi znajomymi?

JG: Wie Pan to, tak szczerze mówiąc, to perspektywa młodego człowieka, który wchodził tutaj w to społeczeństwo, starał się z nimi zintegrować to widzenie tego wszystkiego było proste i oczywiste. Człowiek chciał z ludźmi pracować, chciał dla nich robić dobrze i nie widział przed sobą żadnych przeszkód. Oczywiście pracowało się sporo, ale też dobrze tu się mieszkano, dlatego, że tu jest wszędzie blisko, dużo znajomych ludzi, integracja postępowała bardzo szybko. Z tym, że realia zmieniały się z biegiem czasu. Jak ja tu zacząłem pracować i dostałem pierwsze mieszkanie, to ja musiałem dopłacić władzom miasta do tego, żeby założono mi telefon. Na początku tutaj lekarze nie mieli telefonu, nie mówimy o telefonach komórkowych, tylko nie mieli telefonów stacjonarnych. Ponieważ w bloku, w którym mieszkam, mieszkano dwóch oficerów wojska i wojsko musiało doprowadzić telefony do tych bloków, to nam zaproponowano, lekarzom, którzy mieszkali również w tych blokach, żeby się dołożyli do tego i w ten sposób otrzymałem telefon. Pamiętam numer telefonu 262.

Ja zawsze uważałem, że realia życia w Kościanie były przyzwoite, że warunki pracy były przyzwoite, że atmosfera była dobra. Oczywiście zawsze zdarzają się jakieś napięcia, jakieś rzeczy, które nam się nie podobają, ale wracając z perspektywy moich tutaj 60 lat pracy, a może odrobinę więcej mieszkania, nie widzę jakichś takich, nie przypominam sobie jakichś takich chwil, kiedy byłbym w sposób jakiś drastyczny, zaskakiwany, czymś, co by mi się nie podobano. Raczej powiedziałbym, że integrowałem się szybko i to życie jakoś tak przebiegało, jakoś taka łatwa integracja jest z góry, jakiś większych przeszkód nie widzę.

Oczywiście zawsze mieliśmy dobre chwile. To takie nawale pracy, jak kiedyś przez pierwsze 10 lat było, to właściwie człowiek nie miał czasu myślenia o tym, że są jakieś trudności. Ja w tym czasie robiłem specjalizację, a dosyć wcześnie zdałem drugi stopień specjalizacji, bo w 1971 roku, a przez ile to lat, przez 7 lat to wszystko zdążyłem zrobić. Mnóstwo dyżurów, mnóstwo pracy jeszcze, szybko stałem się specjalistą, tak że uważam, że bardzo szybko się zintegrowałem.

PS: To pomówmy o rzeczach materialnych. To, żeby ściągnąć do siebie lekarza, trzeba było mieć mieszkanie. Kościan miał to mieszkanie. Mieszkał Pan w bloku, gdzie mieszkało trzech lekarzy i kilku oficerów, czyli elita. Jak wyglądał taki blok dla elity w latach 60-tych?

JG: Z elitą to chyba przesada, ale jak pamiętam pierwsze mieszkanie, które nam z żoną, bo wtedy już byłem żonaty, miałem dziecko, które nam oferowano, to był blok tak zwanego Metalchemu dzisiaj. Zupełnie inaczej to wygląda, przebudowane, ale tam były wtedy jeszcze, to było chyba w 65-tym roku, w 64. roku, w 1960 roku. Mieszkania były oddawane z piecami na węgiel, ponieważ myśmy oboje pracowali, oboje mieliśmy z żoną 10,5 godziny z jednego etatu, myśmy nie mogli tam palić, nie mieliśmy czasu, w związku z tym poprosiliśmy władze, że my jeszcze kątem gdzieś będziemy jakiś czas, a poprosimy o mieszkanie, gdzie będzie inaczej opalane. I rzeczywiście poczekaliśmy i dostaliśmy takie inne mieszkanie w innym bloku, tak zwane osiedle, przy ulicy Waryńskiego, gdzie już było ogrzewanie gazowe. No i tam mieszkalem pewnie 20 lat, póki się nie przeprowadziłem w nowe miejsce.

No, mogę powiedzieć taką rzecz, że jak się przeprowadziłem i w nocy wracałem do nowego domu, założymy po cesarskim cięciu, to nie wiadomo jak to się stało zawsze zatrzymywał mój samochód zatrzymywał przed starym mieszkaniem. No to siła nawyku pewnie.

No, jak człowiek pracował, jak oboje pracowaliśmy, to oczywiście zarabialiśmy jakieś pieniądze i było na stać na coraz więcej. Trzeba pamiętać, że komfort życia wtedy był inny, ale wcześniej miałem własny samochód, stać nas było na wyjazd, dłuższe wtedy urlopy były, dzisiaj tego nikt nie zrozumie, jak to było możliwe, ale były miesięczne, a ponieważ pracowało się bardzo często w sobotę, która była świętem, więc zawsze było jakoś tak, że do tych 30 dni urlopu było kiedyś, do tych 30 dni urlopu zawsze któryś dochodził dzień za ten dzień, który był nadpracowany, więc wyjeżdżało się z miasta na założymy na 32, 33 dni dzisiaj to jest niezrozumiałe, człowiek, który by był w pracy ponad, nie było w pracy ponad miesiąc, właściwie byłby niepotrzebny, no bo do czego, ale tak kiedyś to było.

PS: Jak pan, wspomnieliśmy jak wyglądał Kościan w latach 60-tych, pan go opisał, opisał atmosferę, jaka w nim panowała, że kompaktowe, małe, bezpieczne, a wizualnie jak to wyglądało, jak wyglądało miasto. Ze zdjęć, jawi nam się takie niezbyt radosne, szare, ponure.

JG: To znaczy, jeżeli chodzi o sam teren szpitala, to teren zupełnie inaczej wyglądał, bo jak ja zacząłem pracować, to był stary gmach, w którym było gro oddziałów i świeżo oddana po przybudowanej świniańni blok oddziału ginekologicznego położniczego. Był jakiś skromny gmach dyrekcji, który mieścił się tam, gdzie pralnia, była pralnia taka osobna i tam było na piętrze gmach dyrekcji i właściwie reszta to była takie pomocnicze gospodarstwa w postaci jakichś tam para auli, ogrodu dużego, który służył na potrzeby szpitala, a samo miasto wyglądało zupełnie inaczej. Jak ja tu się sprowadziłem, to jak się szło od dworca, bo to będzie najłatwiej sobie wyobrazić, nie było ronda, była jakaś taka łukowata droga, niezbyt szeroka. Na boku tej drogi była stacja benzynowa, wzdłuż ulicy Kościuszki, która była wybrukowana cegłą klinkierową. Bez przerwy ciągnęły się wozy konne, nieliczne samochody. Najgorzej było w okresie jesienno-zimowym, dlatego, że tą drogą odbywał się cały transport buraków. Nikt nie pamięta, mało sobie zdaje sprawę z tego, większość ludzi, że w tamtym czasie kampania cukrownicza trwała od września do lutego, czasem do marca. I rolnicy z wozami konnymi, traktorów było wtedy mało, zwozili te buraki, nie dosyć, że był bez przerwy tłok, to jeszcze ta ulica była zabrudzona, tak że potoki błota były na ulicy.

Nie było wtedy jeszcze tych nowoczesnych osiedli, pamiętam, że pierwsze bloki powstawały tutaj na ulicy Waryńskiego, może jeden, może dwa. Dzisiaj tam, gdzie mamy szkołę zawodową, gdzie mamy nowe osiedla, to wszystko były pola, tam siano zboże, jak ja się do Kościana sprowadziłem, to od strony Kokorzyna do terenu dzisiejszego Lidla były tory, do takich rolek, kiedy tymi rolkami sprowadzało się m.in. buraki do cukrowni.

Kościan był takim miastem bardzo zwartym, jak ja tutaj przyszedłem do pracy, to gdzieś miał w granicach może 15 tys. mieszkańców i ta liczba zaczęła lawinowo rosnać, zaczęły się bloki budować, zaczęli przybywać nowi mieszkańcy miasto Kościan było w tym czasie miastem bardzo uprzemysłowionym, było dużo różnego rodzaju fabryk, taka fabryka Metalchem, jak pamiętam, w szczycie swego rozwoju liczyła prawie 3 tys. pracowników, a były plany budowania Metalchemu, który miał mieć 5 tys. pracowników, ta wersja upadła, a ten Metalchem został w końcu wybudowany w Opolu. Niemniej Kościan dynamicznie się rozwijał i pewnie przekroczył szybko 20 tys. mieszkańców.

Natomiast drogi były podłe, właściwie najważniejszą taką drogą, która była, to była trasa kolejowa, ponieważ Polska bardzo dużo eksportowała węgla i część węgla szła trasą z Wrocławia do Świnoujścia, bo tam ten węgiel był przetadowywany, a na

przyjeździe kolejowym na ulicy Gostyńskiej były zapory, więc właściwie bardzo długo było czekać, trzeba, jak się chciało na drugą stronę przejść, dlatego, że te zapory właściwie były bez przerwy opuszczone, dlatego, że pociąg z węglem jechał za pociągiem z węglem.

Jeżeli chodzi o drugą drogę komunikacyjną na trasie Poznań - Leszno, to ta cała trasa przyjechała przez miasto, przyjechała przez miasto. Ulica Kościuszki była bez przerwy zatłoczona, ten cały ruch się tutaj odbywał. To do pewnego czasu, to naprawdę była zмога, nie można było prawie, przejść na drugą stronę ulicy. Póki ten ruch był głównie związany z pojazdami zaprzęgowymi, to jeszcze jakoś tam sobie ludzie dawali radę. Jak się zaczęły pojawiać samochody, to stawał się nieznośny. Bardzo długo to trwało i właściwie zaczęło się rozwiązywać w momencie, kiedy z inicjatywy społecznej, trudno powiedzieć, czy z ówczesnej, partyjnej, być może tak było, została podjęta inicjatywa wybudowania obwodnicy miasta Kościana. I tutaj trzeba powiedzieć, że Kościan, jeżeli nie jest pierwszym w Polsce, to jeden z pierwszych miast w Polsce, który dokonał takiego dzieła. Kościan uzyskał obwodnicę i dzięki temu ten ruch się zupełnie skodyfikował, miasto stało się zupełnie przyjemniejsze dla życia. Mieszkańcy Kościana mieli przedsmak tego, co by ich czekało, jak wiedzieli jaki ruch długi czas się przewalał przez miasteczko graniczące z Kościanem Śmigiel. To było w pewnym momencie nie do życia. Więc takie pewne zmiany musiały następować.

Jeżeli chodzi o samo miasto, miasto było żywym miastem. tutaj działał działały chóry sławne zresztą w całej Polsce. Tutaj były dwa kina. Oprócz kina - Polonia chyba się nazywało [nazywało się Słowianin – przypis redakcji] - w mieście jeszcze było kino Cukrownik. Tak że to były codzienne seanse. Tutaj odbywało się w domu kultury bardzo dużo spektakli przyjezdnych ekip. Spektakle teatralne, jakieś miejsca, kiedy odbywały się festyny. Tutaj był bardzo znany przez pewien czas festiwal dudziarzy w Kościanie. Dzisiaj po nim nie ma śladu.

Jeżeli o mnie osobiście chodzi, to kierownikiem mojej specjalizacji był nieodżałowanej pamięci pan profesor Zbigniew Słomko. W związku z tym ja byłem siłą rzeczy bardzo związany z kliniką w Poznaniu, dlatego, że zawsze się łatwiej pracuję jak kierownikiem specjalizacji i później konsultantem nad naszym oddziałem był profesor Słomko i Słomko sprawdził, zweryfikował moje umiejętności i zgodził się, że ja trzy miesiące ten oddział prowadził. Nie będę ze specjalistą jeszcze. Na dzisiejsze czasy nie jest to wyobrażalne, bo żeby człowiek przed jedyneką robił cięcia cesarskie, prowadził porody, to dzisiaj właściwie jest to niewyobrażalne. Wymagało to mojej wielkiej odwagi, było to, a może braku wyobraźni, w każdym razie bardzo to mnie obciążało psychicznie. Miałem szczęście, żadna pacjentka nie umarła, żadnych jakichś większych kłopotów na moją działalność ówczesną, w tym czasie nie spowodowała.

Także dzisiaj doceniam to, że tak się stało właśnie, a nie inaczej. Ale można powiedzieć, że dało mi to dużą szkołę życia, bo gdy się patrzy na pracę lekarza, to większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z tego, że wiedzą, że potrzebna jest wiedza i umiejętności lekarza, ale w procesie jego działania nie wiedzą, że istotną rolę odgrywa sprawa, że on musi podjąć decyzję. Ta decyzja musi być szybka i ona musi być właściwa, bo jeżeli się w danej chwili nie podejmie właściwej decyzji, no to skutki mogą być tragiczne. Jeżeli się odnośnie do działalności położnika, założymy, do odbierania porodu, czy robienia operacji, to wszystko są sprawy dynamiczne i ta decyzja musi być właściwa, bo jeżeli by się podejmie niewłaściwą decyzję, to skutki są bardzo często nieodwracalne.

No i wracając do tej sprawy, ten taki okres, kiedy pan profesor Słomko zgodził się na to, żebym ja prowadził ten oddział, pozwolił mi na wyrobienie sobie jakiejś pewności samodzielności, która później rzutowała na dalszy przebieg mojej pracy lekarskiej i właściwie od tego momentu byłem zawsze zastępcą ordynatora z bardzo dużymi uprawnieniami. Praktycznie mieliśmy ten oddział, jeżeli chodzi o samą pracę dzieńno-nocną, prowadzili na spółkę. Myśmy całe lata mieli tydzień, tydzień po dyżurach, raz tydzień on, raz ja. A proszę sobie wyobrazić, że kiedyś, jak to było około dwóch tysięcy porodów, kiedy nie było dyżuru specjalistycznego, bo ten dyżur specjalistyczny dopiero nastąpił chyba w 1978 roku, to dyżurowali chirurdzy, interniści, trzeba było w nocy latać do takich zabiegów, które dzisiaj lekarz, który jest na porodówce, wykonuje sam. Także czasem nawet do błahych zabiegów trzeba było wywołać, bo tak jak lekarz, który miał aktualnie dyżur, to miał obawę, czy on to potrafi zrobić sam, tak jak trzeba. To jest niewyobrażalne, ale w tamtych czasach myśmy kilka razy w nocy byli w szpitalu, a jeżeli było dużo porodów, a każdy wie, że większość porodów odbywa się w godzinach nocnych, to proszę sobie wyobrazić, ile życia myśmy w nocy spędzili na porodówce.

PS: A gdy już była chwila wolnego, bo były takie, musiały być takie, to co robiono wtedy w kościele, jak się pan mógł zabawić, oderwać, zrelaksować?

JG: Ach, to jest powszechną wiedzą dzisiaj, że jest atomizacja życia społecznego. Jak ja zacząłem pracę w szpitalu, to normą było, że myśmy się wszyscy spotykali, myśmy pili kawę, czy herbatę, myśmy rozmawiali, myśmy dyskutowali, wszyscy dyżuranci. Na początku tych dyżurantów było dwóch, a później było trzech, cztery, pięciu, sześciu, dzisiaj może jest dwunastu, ale dzisiaj nikogo nie widzę. Przechodzę na dyżur, kończę ten dyżur i właściwie jakby się nic nie działo, to ja z tej dyżurki nie widział, pies skudową nogą do mnie nie zagląda, ja do nikogo nie zaglądam.

Kiedyś to życie było zupełnie inne, myśmy się integrowali. Ta integracja polegała na różnych torach, na społecznej i na prywatnej. Prywatnie lekarze bawili się, chodzili na zabawy, jeżeli tylko miał wolny czas, to w karnawale zawsze szło się na zabawy. Sławne były takie zabawy, które były związane z pewnymi ludźmi lub z pewnymi organizacjami, na przykład taki najbardziej nobliwy bal, który był w karnawale, to był bal PCK. I tam właśnie Polski Czerwony Krzyż, aktywistki tego Polskiego Czerwonego Krzyżu potrafiły te bale przeurocze robić. Dzisiaj właściwie jak ja idę na jakąś imprezę, to może jest jeden lekarz poza mną. Lekarze w tej chwili nie garną się do jakiegoś takiego uczestnictwa w społeczeństwie to są zmiany, które pewnie są niezależne od nich, oni nie są gorsi, ale nie ma tego.

Ja każdą chwilę, którą miałem poświęcałem na grę w tenisa. Jakies można powiedzieć, że na poziomie rekreacyjnym byłem dobrym tenisistą. Jak tylko miałem okazję, to wyjeżdżałem na narty, też lubiłem jeździć na narty. Ponieważ mieszkalem w bloku w tamtym czasie, to jak tylko mogłem, później już był, później z biegiem czasu, ten etat już nie był 10,5 godziny, tylko trochę krótszy, to w związku z tym jak tylko miałem chwilę, to siadałem w samochód z dziećmi, jechałem do lasu, bo mieszkanie w bloku było zbyt małe do tego, żeby jakoś rekreację mieć.

Właściwie nie wiem, to były takie wrywane chwile, dlatego, że wtedy się cały dzień spędzało szpitalu, a jeszcze ma się prywatną praktykę, bo wtedy miałem. To właściwie tego czasu było mało.

Moja żona jest z domu Poprawska. Jej ojciec zginął, nie znała ojca w kampanii, w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. Mamy zamiar odwiedzić jego grób, jest w zbiorowej mogile w Laskach koło Warszawy, ale w każdym razie to był człowiek, który pochodził ze Zglinica z leśniczówki i później jego brat był na Gryźnocy leśniczym. Poprawski, wujek mojej żony. W związku z tym siłą rzeczy pierwsze kroki, które moja żona zrobiła, żeby mnie zapoznać z wujkiem, to był wyjazd na Gryżynkę, na to leśnictwo. Jak się na Gryżynkę jechało wtedy? Mój teść miał Simpsona, taki motorower Simpson i ja na bagażniku moją żonę wiozłem tym Simpsonem na to jezioro, do leśniczówki. Droga była, jak ja się do Kościana sprowadziłem, była może na wysokość torów kolejowych na ulicy Gostyńskiej. Dalej wszystko był gościniec, który był piaszczysty. Dojechało się do Racotu, ścieżką taką obok polną się jechało do Gryżyny, z Gryżyny tam się jechało później lasem na Gryżynkę.

Można było inaczej jechać. Można było wsiąść w pociąg, jechać do Starego Bojanowa, w Starym Bojanowie się przesiąść na kolejkę wąskotorową, która jechała do Krzywina i wysiąść w miejscowości albo Zgliniec, albo Bojanowem to się inaczej nazywa się inaczej i tam się wysiadało, szło się wzdłuż jeziora, przychodziło się przesmykiem, takim mostkiem, który nazywa się czarci mostek i tym czarcim mostkiem szło się polną drogą aż do leśniczówki.

Ponieważ kuzynka mojej żony Poprawska wyszła za mąż i mniej więcej w tym samym czasie co moja żona, więc one się spotykały, miały wspólne tematy, ponieważ bardzo się przyjaźniły, więc myśmy byli czystymi gośćmi na tym, na tej Gryźnocy. Oczywiście to jest ta Gryźnoka inna, tam nie było żadnych ośrodków, tam był tylko jeden domek, leśniczówka, stara, która w tej chwili po niej nie ma śladu. Wszystko, cokolwiek jest w tej chwili na Gryźnocy jest nowe. Tam po starym nie ma niczego, po starej leśniczówce nie ma śladu nawet.

Lubię Gryżynkę, lubię jeździć. Jakiś czas dzierżawiłem leśniczówkę. Nie potrafię powiedzieć, ja tego nigdy nie śledziłem, ale musiało to tak być, że nadleśnictwo wyraziło zgodę na to, żeby tam szpital wybudował sobie ośrodek. Wszyscy wiedzą, że nadleśnictwa bardzo niechętnie zgodę wydają, dlatego, że jest jakaś ustawa, która zabrania lasom sprzedawać części lasu, lasom państwowym sprzedawać części lasu. Niemniej dyrektor Florkowski dopiął do tego, że obok nowo wybudowanej leśniczówki zabudowania gospodarcze, które tam były, stodoły, stajnie, przebudowano na ośrodek, który służył pracownikom szpitala. Tam była część budynków, gdzie w ramach pracownicy w ramach związków zawodowych mogli jeździć tam na wczasy. Część ludzi jeździło do zabudowań, część ludzi jeździło pod namioty. Ja mogę sam powiedzieć, że moje dzieci z moją teściową zawsze większość czasu spędzały na Gryźnocy od czerwca do sierpnia przyczepę kempingową, bo miałem taką przyczepę kempingową. Tam można było, na bardzo preferencyjnych warunkach można było być, płacić za postój, że tak powiem, za pobyt no i korzystać z kuchni, którą szpital prowadził. To jest na dzisiejsze czasy niewyobrażalne, ale wtedy dla bardzo dużo ludzi, może akurat nie myślę tu o lekarzach, może tych lekarzy nie było aż tak dużo, chociaż też spędzali tam swoje pobyty, ale pielęgniarki, salowe, pracownicy, pomocniczy całe lato spędzali na Gryźnocy i bardzo sobie to chwalili.

PS: Lekarz, który non stop jest w szpitalu, stołuje się w szpitalu, ale gdyby chciał się stołować na mieście, pamięta Pan kościańską gastronomię kiedyś, dziś?

JG: Tak, oczywiście pamiętam, to znaczy ja zawsze jadłem w szpitalu, do tej pory nawet jem, chyba jestem jedynym, albo nie jednym z nich, lekarzy, który sobie zamawia i płaci za obiad w szpitalu. Ja z uwagi na moje schorzenia gastryczne nie bardzo jakoś mogę kupować jakieś produkty, które są dowożone gdzieś tam spoza szpitala, ja wolę takie bardziej dietetyczne jedzenie. Jak pamiętam kiedyś, pamiętam zawsze, że nie było problemu z wyżywieniem w szpitalu, kiedyś była stołówka, kiedyś była kuchnia na miejscu, która zresztą robiła wyśmienite jedzenie.

Dzisiaj to inaczej jest, bo są firmy zewnętrzne, ale my też możemy zamówić posiłki. Jeżeli chodzi o gastronomię, to jak ja tu przyjechałem do Kościana, to tych restauracji było kilka. Była restauracja Polonia na rynku, Ratuszowa. Polonia u

zbiegu ulicy, na końcu ulicy Kościuszki przy wejściu na rynek. Była Jodemka tutaj koło Netto. Bardzo sławne były w czasie, w lecie jedzenie w postaci golonek, kaszanki na kręgielni. Była kręgielnia, była sekcja kręgielni, była duża kręgielnia tuż koło cmentarza. Dzisiaj nieistniejąca. Tam bardzo dużo ludzi brało. Od właściwie wczesnej wiosny do późnej jesieni były tłumy ludzi i tam można było, jak były dostępne oczywiście, zjeść golonkę, zjeść kaszankę, jakąś bardzo dobrą zupę. W Kościanie nie było problemu z restauracjami. Jeżeli w Kościanie był przejściowy problem, to był związany z ogólnym niedoborem żywności, która była w Polsce w pewnych okresach, w pewnych latach. Natomiast było dużo więcej restauracji w Kościanie niż obecnie i dużo łatwiej było zamówić i zjeść. Oczywiście nie było coś takiego jak catering, że można było sobie pizzę zamówić czy jakieś inne jedzenie do domu. Niemniej nie było żadnego problemu. Kościan stał restauracjami, że tak powiem.

Ja objąłem prezesurę po doktorze Florkowskim. Bardzo dobry lekarz, bardzo dobry fachowiec, zresztą honorowy obywatel miasta Kościana pan doktor Henryk Florkowski nie pasował ekipie partyjnej do tego, żeby być prezesem bardzo dobrze prowadzonej placówki Polskiego Czerwonego Krzyża Zarządu Powiatowego w Kościanie. Nie pasował pewnie partii i partia chciała zmienić tego prezesa. Jakoś padło na mnie, zresztą za aprobatą doktora Florkowskiego. Pewnie nie czułem się komfortowo, że musiał odejść, ale to był człowiek o szerokich horyzontach i w związku z tym rozumiał realia, rozumiał, że jakieś tam muszą być zmiany i ja byłem tym prezesem później do czasu, póki też.

PS: A kiedy ta zmiana nastąpiła? W którym roku?

JG: Nie pamiętam, ale to musiało być związane. Pewnie gdzieś w tych granicach powstała reforma administracyjna. Mógłbym do tego materiału sięgnąć oczywiście, ale dokładnie nie pamiętam. W każdym razie ja po doktorze Florkowskim objąłem to stanowisko. Oczywiście profil mojej działalności był inny. Może ja nie potrafiłem dorównać zdolnościom organizatorskim doktora Florkowskiego. Może nie miałem takiego widzenia, takiego miru, ale też nie mogłem zatrzymać siłą rzeczy ludzi, którzy współpracowali blisko z panem doktorem Florkowskim. Musiałem sobie wytworzyć nowe zaplecze do pracy. Myślę, że mi się udało, dlatego, że tutaj mocno rozwinąłem przy pomocy współpracowników działalność pecekową wśród młodzieży honorowe krwiodawstwo. To się wiązało z tym, że 35 lat byłem kierownikiem punktu krwiodawstwa w szpitalu w Kościanie. Mamy do okazania jest to możliwość listy gratulacyjne z Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża za moją działalność, za przyjęcie delegacji zagranicznych. Ja gościłem tu delegacje zagraniczne, które pokazywano, w które śledziły pracę z młodzieżą.

To nie było normalne. Większość zarządów powiatowych nie miała takich możliwości. Zarząd Wojewódzki w Lesznie nie miał delegacji zagranicznych, a myśmy mieli delegacje zagraniczne. Sam zresztą brałem udział z ramienia PCK do innych krajów. Wydaje mi się, godnie zastępowałem doktora Falkowskiego i w czasie mojej prezesury ten Czerwony Krzyż w Kościanie działał w miarę dobrze. Do czasu mego odejścia co roku był dzięki środkom, które się postarałem znany w całym województwie organizacja obozu dla dzieci niepełnosprawnych. No i tak to było. Ale mile wspominam i uważam, że to trzeba odnotować, że myśmy dobrze działali i staraliśmy się dobrze działać.

PS: Przyjmował Pan porody na przykład babci, mamy, wnuczki i tak dalej. Czyli przez tyle lat odbierając porody to zdarzało się, że był Pan jedynym lekarzem w kilku pokoleniach jednej rodziny, który te porody przyjmował?

JG: No tak, ale to jest taki zbieg czasowy. To znaczy ja sobie zdaję sprawę, że ja tutaj właściwie, że nie jest codzienną chwilą, kiedy się ma nieprzerwalnie 60 lat pracy. Ja wiem o tym, że w Polsce jest ponad 2000 lekarzy powyżej 86 roku powyżej 80 roku życia, którzy pracują czynnie. Ja wiem, że jest 10 lekarzy, którzy mają 90 lat i jeszcze pracują. Jeżeli chodzi o moją specyfikę, to jest to, że ja pewnie wśród tych 88-latków jestem jednym z nielicznych, który jest zabiegowcem, bo jest duża różnica między lekarzem, który pracuje w dziedzinie zachowawczej, a zabiegowcem. Ja ciągle muszę być zdolny do natychmiastowej operacji w mojej dziedzinie, którym jest operacja cięcia cesarskiego, czy ciąży pozamaciicznej, czy jakiejś innej nagłej operacji. Dzisiaj struktura jest dla mnie bardzo korzystna, dlatego, jest zawsze dwóch lekarzy w tej chwili w szpitalu, jeżeli chodzi o położników i ginekologów, jest lekarz, który ma dyżur i lekarz na wezwanie. Ja sobie zdaję sprawę, że ja potrafię każdą z tych operacji zrobić i nawet potrafię zrobić operację, którą w tej chwili jeszcze młodzi koledzy, którzy po mnie nie potrafią zrobić, ale jest układ dla mnie bardzo przyjazny, wszyscy wiedzą, znają mój wiek, podeszły można powiedzieć i ja właściwie nie muszę sam w większości operacji robić, ja mogę asystować i czasem robię, ale zwykle asystuję, w tym, że większość zabiegów, kiedy jestem sam, prawda, związanych, że tak powiem, z porodem, robię sam, przecież niech będę wołał kogoś do jakichś tam naprawczych rzeczy, po porodzie czy kogoś, to wszystko wykonuję sam.

Pewnie przez te 60 lat zdarzały się różne takie sytuacje, jako ciekawostkę mogę podać, że pacjentka mówi, panie doktorze, pan był przy porodzie mojej babci. Ja mówię, jak to możliwe, przecież to, no jak to, ja wiem, że jestem dziadkiem, ale jak ja mogłem być przy porodzie pani babci. No tak, tak się zdarzyło, że jak pan tu przyszedł do pracy, to moja babcia rodziła i miała 17 lat, prawie niespełna 17 lat. Moja mama miała niespełna 17 lat i ja też mam jeszcze, jeszcze nie skończyła 17 lat. Więc jest to możliwe. Pewnie nie są to częste rzeczy, ale się zdarzają.

Proszę sobie pomyśleć ten postęp, że w czasie moich 60 lat pracy w Kościanie urodziło się w granicach 100 tysięcy ludzi. Oczywiście ja nie mogłem być przy tych wszystkich porodach, ale przy dużej części porodów byłem. W związku z tym różne specyficzne rzeczy się zdarzały. Także dzisiaj jak mam dyżur i ktoś, młoda pacjentka rodzi i mówi, że pan odbierał moją mamę, to ja wcale nie jestem zdziwiony, bo przecież tak mogło być prawda?